Lwów 27. Września **Nr 115.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

X.

Starania o szlachectwo.

(Ciąg dalszy.)

To rzekłszy pan Kierekiesz, zwrócił się do zatrudnień, a nasz Drzwiowski tymczasem czytał i uczył się, jak ma uchodzić za byłego dworzanina królowej francuskiej.

Tymczasem nadszedł lokaj królewski i zaczął nakrywać dla Kierekiesza do stołu. Kierekiesz prosił o nakrycie na dwie osób, i o zawiadomienie, jak tylko król od siostry powróci.

Drzwiowski nie wiele miał apetytu, bo pominąwszy inne jego zgryzoty, ta cała komedja, w której miał być pierwszym aktorem, oburzała go. Znudzony i smutny długie rachował godziny.

Aż nareszcie o zmierzchu przybył służący z doniesieniem, że król już powrócił, i że zaraz do audyencyi mogą być przypuszczeni.

— A więc chodźmy! rzekł Kierekiesz.

Bohatyr nasz był coraz więcej zmięszany. Do tego stanu nie mało przykładało się wszystko, co po drodze zdybywali. Ten przepych dworu królewskiego, sute pojazdy, złociste liberje, warty, pyszne schody, liczna czereda dworskiej służby, wszystko to na nieprzyzwyczajonym wielkie robiło wrażenie.

Weszli wreszcie do salonu niebieskiego, który przytykał o pokoje przez samego króla zamieszkane. Nie długo, czekali, król Stanisław bowiem lubił u drugich akuratność, ale też i sam niechętnie dawał czekać na siebie. Usłyszeli śmiałe stąpanie króla, i wszedł ubrany w mundur gwardyi z wstęgą pomarańczową orła czarnego pruskiego na szyi i wstęgą narodową orła białego na piersiach. Postawa króla Stanisława była szlachetna zawsze, uprzejma i tak ujmująca, że na nieszczęście wszystkich zwodziła współczesnych.

— Dobry widzę wybór! mości Kierekiesz! kontent jestem. Jutro o ósmej z rana odbierzesz waść depeszę i wszystko, co do niej należy u imcipana Kierekiesza, a on resztę ustnie zakomunikuje, i bezpośrednio puścisz się znajomą drogą.

— Dla usług najjaśniejszego i najmiłościwszego pana zawsze gotów jestem i poleciałbym chętnie na ostateczne krańce świata, ale właśnie do Petersburga, zdaje mi się, że czuję moją kompletną niezdolność.

— Ha! ha! ha! roześmiał się król i wyrzekł nie bez ironii: Zbyteczna to skromność, bo ja przeciwnie widzę w aspanu najzupełniejszą zdolność. A więc pojedziesz. Cóż to za papier? a to ten list, o którym Kierekiesz wspomniał mi wczoraj. I wziąwszy list do ręki przypatrzył się tylko kopercie:

— Tak! tak! to jej własne pismo; to jej pieczątka lilje i zubrza głowa.... Naprawię ja ci ten defekt, jaki masz w swojem szlachectwie, tylko się spraw dobrze. Z powrotem się niespiesz; jest tam niemało do widzenia. W paszporcie będzie napisane: urodzony... Ale powiedz mi, czy prawda, że królowa mnie odmalowała?...

— Najzupełniejsza prawda, najjaśniejszy panie! Ja sam ten portret odwoziłem do króla Stanisława. Lecz wyznać muszę szczerze, że na tym konterfekcie najjaśniejszy pan wyglądałeś daleko starszy i jeśli mi wolno powiedzieć, nie z tym wyrazem wyższej prawdziwie majestatycznej piękności, którą ja dziś po raz pierwszy mam zaszczyt oglądać.

Uśmiechnął się król jegomość, pogłaskany pochlebstwem.

— Tak, tak! odrzekł z słodkim uśmiechem, na bohatyra naszego zwróconym; wszystkie te malatury nie wiele podobno warte, ale powiedz mi... król Stanisław musiał wiele cierpieć?

— Piekielne męki, najjaśniejszy panie!..

W tej chwili spojrzał król na zegarek, wszyty w rękaw munduru swego i oparłszy się nieco na lewej nodze, a podniosłszy prawą nieznacznie do góry, spojrzał Drzwiowskiemu mocno w oczy, obrócił się i do komnat swoich nazad wracał, oddawszy przed wyjściem ową kopertę z falzyfikatem.

Na wielkich schodach musieli się zatrzymać, zdybawszy trzech jenerałów rossyjskich wyższego stopnia, okrytych orderami, którzy szli do króla. Widok tych mundurów przykre bardzo zrobił wrażenie na Drzwiowskim, który z westchnieniem pomyślał, że ma właśnie w te ich oddalone

odjeżdżać kraje. A przytem przypomniał sobie ukochaną Anusię, którą tak dawno już nie widział, a Bóg wie kiedy zobaczy. Wyboru wszakże nie miał, bo wiedział, że pani Wolska nie wyda mu córki, dopóki dyplomu szlacheckiego nie ukaże.

Wróciwszy do pokoju Kierekieszy, zbierał się on co prędzej do wychodu, lecz nie mógł wytrzymać, by mu nie powiedzieć w pożegnanie:

— Gdyby tego zakonu nie byli znieśli, śmiało pan jezuitą, co więcej ich jenerałem zostać by mogłeś, tak zgrabnie postąpiłeś sobie ze mną.

— Dziękuję za komplement! i wierzaj mi waćpan dobrodziej, że w czasie będziesz mi wdzięczny, bo dla młodego człowieka, kawalera takiego jak pan, czysty awantaż zwiedzić świata trochę.

Umówiwszy się co do dnia jutrzejszego rozeszli się.

Łatwo pojąć, w jakiem usposobieniu wrócił Drzwiowski do siebie na ulicę miodową pod Nr. 67. Jedyną jego nadzieją było, że może zastanie list od kochanej Anusi, tak gorąco upragniony; jakoż wszedłszy zaraz spojrzał na stolik na którym listy swe składać zalecił. P łonna nadzieja! żadnego nie było listu, a więc trzeba było wyjechać na dłuższy czas, i żadnej a żadnej nie mieć wiadomości.

Nakazawszy służącemu, by nazajutrz wszystko do podróży gotowem było, usiadł i smutnym oddał się myślom, to o swej miłości, to o ojcu źle o nim uprzedzonym, to o swych zabiegach około szlachectwa, które urażały szlachetniejsze uczucia jego. I przypomniawszy sobie list od Kieny, wziął go, by raz jeszcze przeczytać.

List ten następującej był treści.

Wielmożny mości, z serca najukochańszy bracie
i dobrodzieju!

Jakże mnie serce trapi, iż przez czas całej mej podróży żadnego od wielmożnego pana dobrodzieja nie odebrałem listu; pytałem z trwogą w Samborze w przejeździe moim, nic znowu nie było, to prawdziwa calamitas; czyż zarobiłem sobie na to, a co większa, iż mnie myśl trapi ciągle, czyli też niepopadłem w niełaskę u wielm. imćpana dobrodzieja. Co do powierzonego interesu cum maxima diligentia pracuję, ale zdaje mi się, iż mi przyjdzie koniecznie, jeżeli to zgodne będzie z wolą wielm. imćp. dobrodzieja, do Pawii jechać, i w dokumentach La Portów ślęczeć, kiedy i jakim sposobem te przenosiny do Polski naszej kochanej wprawdzie, ale zbyt nieporządnej, się stały, bo tu jedyne salus parę wsi odwiedzić ostatnich, w których także nie mam pewności, czyli co odkryję. O ile zaś w tychże coś z rodem wielm. imćp. dobrodzieja wspólnych familiantów odkryć mi się da, teraz naprzód deklarować lub decydować nie mogę; to późniejsza inwestygacja na to potrzebna; z resztą cóż miłego i wspaniałego będzie dla tak zacnego kawalera, z agricolą mieć wspólne pochodzenie, których chociaż laboriosus, zawsze simplex i inexcultus był i będzie terrigena. Między zaś szlachtą, którą objechałem, ani śladu o Drzwiowskich nie znalazłem i nawet mylnie musiano wielm. imćp. dobrodzieja w tym względzie instruować, gdyż same te coincidentiae, jak bakałarze dzieci uczą, iż do wynalezienia i nie było, gdyż drzwi były i będą po francuzku la porte, a po włosku la porta, nic więc łatwiejszego jak we Włoszech prawdy dójść, a gdyby i Pawia źle posłużyła, to Rzym już niezawodny port, gdyż tam przed czasy niedawnemi żył jak wielmożn. imćp. dobrodrodziejowi wiadomo będzie, kardynał św. kościoła bożego, tego nazwiska; puścił bym się w tę tak daleką drogę, jeżeli to będzie zgodnem z wolą wielm. imćp. dobrodzieja. Ale jeszcze nie ma nic niepodobnego, abym coś w górach nie wynalazł. Leży tam pod Uryczem forteca Tustań, którą Kazimierz wielki fundował, dziś już w ruderach, ale niema nic niepodobnego, aby nie presumować, iż osiadłych naokoło walecznych mieszkanców setkami naraz nobilitowano i tak Sasem obdarzano, jak niegdyś za wielkiej pamięci Jagiełły na Litwie chrzczono, gdzie całe zgromadzenie ludzi naraz te same imiona otrzymywały, a ksiądz naraz krzyczał, Jadwigi i Marie!.. i t. d.

Chciej wielm. pan dobrodziej przyjąć propozycje moje do swojej rozwagi i zapewnienie uszanowania z którym mam honor pozostawać

wielmożnego pana dobrodzieja
z serca kochającym bratem
i najniższym sługą
Hieronim Beczka Kiena.

Przeczytawszy ten list, mocniej jeszcze przekonał się nasz pan Jan, że niema dla niego żadnego ratunku, tylko w nobilitacyi danej mu przez króla; że zatem od podróży żadnym sposobem wykręcić się nie może.

Gdy tak medytował, i przechadzając się po pokoju zbliżył do pieca, jak by na umyślnie przez uśmiech szyderczy losu, ta sama myśl herbowna, co mu głowę ćwiokiem zabiła, stała przed nim widocznie i wyszczerzała się doń z kaflowego pieca. Trzeba zaś wiedzieć, że pomieszkanie nasz przyszły Wieniawita najmywał wraz z przyzwoitem bardzo umeblowaniem. Owoż w tym pięknym i obszernym pokoju był piec kaflowy, a na każdym kaflu powtarzał się jeden i ten sam herb wyryty *Krzywda* co dowodzić się zdawało, iż niegdyś Rzewuskim ciepła dostarczał, a pewnie przy restauracyi którego z zamków lub pałaców przez skromnego mieszczanina zakupionym został. Krzywda bowiem jest to siostra Lubicza, między której herbownemi Rzewuscy przodek trzymali, jak znowu między Lubiczami Żółkiewscy. Myśląc i grzejąc się, się, wpatrywał się Drzwiowski w ten znak herbowny, który mu jakoś do smaku przypadał. Lecz cóż robić? dobra i Wieniawa! byle już ją raz zdobyć.

Czas tymczasem uchodził, już było poźno w nocy; pan Jan bezsennością trawiony, usiadł aby list pożegnawczy napisać do najdroższej serca bogdanki.

I tak zaczął:

„Kochana i nad życie droga Anneczko!

„Czyż być może, aby mnie tak męczyć, kilka tygodni rozdziału i ani jednej literki; jakie powody mogą mego anioła do takiego kroku zniewalać, gdzie jak przekonany jestem dwa ciała jednę tylko tworzą duszę. Ja tylko dwa pojąć mogę: słabość mego anioła, co nie daj wielki Boże! lub że mój anioł, co najpodobniejsza, przez mamę do pióra przyjść nie może. Poprawże się mój aniele, gdyż gryść nie znaczy kochać. Piszże zawsze, i adresuj pod nr. 67 na miodową ulicę, chociaż ja ten list, ba sądzę te listy, gdyż mój anioł na jednym nie poprzestanie, pewnie poźniej odbiorę, a to przez wydalenie moje z Warszawy; ale mnie na każden wypadek dójdą, gdyż uproszony gospodarz odsyłać mi takowe będzie, gdzie będę.... Zapytasz mię gdzie jadę, otóż do ojca i dalej.... gdzie dalej? teraz z zakrwawionem sercem wyjawić ci nie mogę.... aż odchodząc da Bóg do ołtarza.... Ale przystąpię dzięki bogu do tegoż jako szlachcic polski, zatem za błogosławieństwem twojej matuli, bez której przyzwolenia nigdy jak się przekonałem, mój anioł przysięgi wierności by mi nie złożył. O niepojęte wyroki opatrzności! abym ja syn jedynak, a ty córka jedynaczka mieliśmy tyle do walczenia z rodzicami, ja z ojcem nieprzebłaganym, ty z matką tyle dumną. Ale szanujmy ich zawsze, wszakże oni są początkiem naszego jestestwa, a oboje zostają w błędzie, moj ojciec myśląc, iż trwonię mienie, twoja matka przez przesąd. Lecz przyjdzie ta chwila, a przyjdzie niewątpliwie że nam błogosławieństwa nie odmówią, a sobie staruszkowie nawzajem w znak przyjaźni serdecznie ręce podadzą; dał by Bóg aby ich troje było, to jest abyście ojca odszukali. Maj to Maj, król między miesiącami ziemi naszej, cudu tego dokaże. Wiele mi się ktoś do nieszczęścia mego przykłada, jakoż ojciec co tydzień anonime listy pisane z Warszawy odbiera, przedstawiające mnie w najgorszem świetle. Nie posądzam i przebaczam, ale mówiono mi, że pochodzą od Maxia, podżeganego przez tego czarnego Sztroma. Mogęż wierzyć, aby tak czarna dusza tak piękne zamieszkiwała ciało. Ale dosyć o tem, czas wszystko wykryje. Ja ten list adresuję pod kopertą drugą księdza Rafałowicza exjezuity, gdyż tyle mogłem wytropić po usilnych poszukiwaniach iż tam gdzie on, ojciec wasz się znajdować ma, a jak teraz i wy pewnie przy nim. A obydwie koperty obkładam trzecią adresowaną do pałacu arcybiskupiego we Lwowie, gdzie znowu z pewnością wiedzą, gdzie ksiądz Rafałowicz obecnie się znajduje. Szkoda żeście tę drogę tak wcześnie przedsięwzięły, chcąc uniknąć wiosennej rozkiści, gdyż mogłem w przeciągu tych kilku tygodni które minęły wytropić dalej miejsce pobytu księdza Rafałowicza, czego zaniechałem, sądząc iż mój anioł ze Lwowa pisać będzie, co z żalem moim nieutulonym dotąd nie nastąpiło. Ponieważ zaś wszystkie kości we mnie łoskot poruszonego szkieletu wydają z miłości, niepewności i wątpliwości, a serce wielkim puka młotem, przeto ściskam w duchu mego anioła po tysiąc razy, i zostaję dozgonnie przywiązanym. Jan...”

Po napisaniu tego listu spokojniejszy nieco usnął nasz bohatyr, i marzył dziwnie pogmatwane sny, w których piękna twarzyczka Anusi ciągle się krzyżowała z najrozmaitszemi szczególnie pokrzywionemi herbowemi dziwolągami. Zostawmy go teraz śpiącego, i przenieśmy się teraz do Lwowa, gdzieśmy matkę Anusi zostawili idącą do arcybiskupa na posłuchanie.

(D. c. n.)

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Dokończenie)

I tak dalej ciągnęła się rozmowa, jak idą zwykle rozmowy kochanków, kręcące się w koło jednego wiecznie przedmiotu, w około jednego słowa „miłości,” najrozmaiciej warjowanego. Leon był nieco śmielszy, i patrząc w oczy modre kochanki, wierzył najzupełniej w jej miłość bezgraniczną. A przecież od czasu do czasu jeszcze, mimo słodkich słów i czułych spojrzeń Brońci, wpadał w smutne jakiś zadumanie. Zdawało się, że go zajmuje jakaś myśl nowa, ważna i obca.

— Co tobie? nadaremnie pytała Brońcia.

— Nic mi! odpowiedział Leon.

Wbiegły nareszcie młodsze siostry, dusząc się od śmiechu i wniosły nakryty już stoliczek do obiadu, który się też wkrótce pojawił.

Dziewczęta puste śmiały się ciągle, i jakże śmiać się nie miały występując z obiadem sporządzonym wedle dyspozycyi babczynej.

Obiad był prawdziwie choleryczny, sporządzony wedle przepisów dietetycznych szambelana. Na środku stała wielka waza, po jej dwu bokach stały dwie ogromne flasze kurzącego się jeszcze napoju. To była cała alfa i omega obiadu pani referendarzowej. Kleik całe stanowił jedzenie, a napój składał się z pieprzowej mięty i jałowcu do wyboru.

— Nic zdrowszego nad kleik! powtarzała referendarzowa.

— A mięta! a jałowiec! wtórował szambelan.

Brońcia się po trochu wstydziła kochanka, który wydawał się coraz smutniejszy, corac więcej zamyślony.

— Czemu nie jesz panie Leonie? pytała referendarzowa.

*

— Jakoś niemam apetytu! odrzekł Leon najpoważniej.

— To zły znak, zamawiał szambelan, nabierając trzeci z kolei talerz kleiku!

I znowu padła rozmowa na cholerę. Leon wypytywany coraz troskliwiej, niemógł zapewne zataić, że cholera najsilniejsza właśnie w ówczas, mnogie zabiera ofiary, a może nawet nie bez pewnej myśli, rozpowiadał niektóre gwałtowniejsze wydarzenia i przypadki, tłumaczył także o ile mógł, że najwięcej podlegają tej słabości ludzie bojący się jej.

— Dowiedzioną jest rzeczą, mówił, że najwięcej działa wyobraźnia.

Na dowód tego cytował zdarzenie znajome anglika z wyrobnikiem.

— Jestem przekonany, że najlepszy środek dietetyczny, jest nie bać się cholery, i nie myśleć nawet o niej. Jak ja na przykład.... ja!... ja!... mówił z największem natężeniem, i ciągle urywał, jakby co mowie przeszkadzało.

— I cóż pan? pytała zadziwiona staruszka....

— Leonie co tobie? krzyknęła Brońcia, widząc jak się Leon nagle z krzesła pochylił.

— Co Panu? krzyknęli wszyscy i skoczyli od stołu.

— Nic to! nic! mówil Leon! i powstał także chwytając się w pół z wyrazem mocnej boleści.

— Co to takiego?... wołali jedni.

— Mów że raz na miłość Boga! krzyczała Brońcia.

— Nic! to przejdzie!... kurcz!...

— Kurcz! wrzasnęli wszyscy przeraźliwie.

— Kurcz gwałtowny, powtórzył Leon złamując się coraz więcej, i potoczywszy się razy kilka, rzucił się nagle na sofkę, przy samych drzwiach stojącą.

— To cholera! krzyknął szambelan i okropnie pobladł.

— Tak się zdaje! że cholera! wyrzekł Leon z największem natężeniem i przeciągał się okropnie i konwulsyjnie po sofce, aż na podłogę prawie staczając się.

— Cholera! powtórzyli wszyscy, i spojrzeli po sobie z trudnym do oddania wyrazem przestrachu zwierzęcego prawie.

Nic nie mówili do siebie, ale się zrozumieli od razu.

— Uciec trzeba! ze wszystkich wyszczerzało się oczów.

I spojrzały wszystkie oczy na drzwi wychodowe, przy których właśnie młodzieniec tarzał się z wyrazem strasznego bolu.

Tędy nie można było uciekać, by się nie dotknąć cholerycznego, a uciec trzeba koniecznie.... I wszyscy podbiegli do okna otwartego. Nie było wysoko! a choćby i było wysoko, lepiej nogę złamać, niżeli dostać cholery.

Przerażone oczy zwróciły się raz jeszcze na chorego młodzieńca, który wydał się im czarny i siny. Czy im może przyszło na myśl, by go ratować? wątpię, a choć może przez chwilę zagadało sumienie, strach przeważniej przemawiał, dowodząc, że i tak niema już żadnego ratunku. A więc pierwsza referendarzowa z niemałą trudnością przelazła przez okno, za nią szambelan, udając lekkiego i młodego, a za nim Wania i Winia. Ostatnia była Brońcia; raz jeszcze spojrzała ku choremu. Może litość przeważy, i zostanie, by umierającego ratować; nawet się już dwie łzy zakręciły w jej pięknych i czułych oczach. Wahanie się to trwało krótką tylko chwilę. Nowy snać kurcz przebiegł po wszystkich członkach Leona, który jęknął przeraźliwie, i chwytając się oburącz za żołądek, wyciągał się konwulsyjnie.

— To widoczne cholery oznaki.... cholery, która zabić musi, tej strasznej cholery! przemknęło jej przez głowę.

I już była za oknem.

W salonie nastało zupełne milczenie, niczem przez chwil kilka nie przerwane. Czy może już nie żyje? Gdzie tam! podniósł się nagle, obejrzał w koło, i gorzki uśmiech wystąpił na twarz młodzieńca.

— Uciekli!... i ona uciekła! mówił sam do siebie. Więc taka to była twoja miłość nad życie! Może i lepiej przecie nie było robić tej próby, kto wie!... dodał i podumał chwilę. I w tej chwili niewiedzieć dla czego przyszedł mu na myśl i żywo stanął przed oczami długi i śpiczasty język Brońci.

— Stało się! dodał, i wyszedl z salonu. Nikogo nigdzie nie zdybał, bo referendarzowa z wnuczkami uciekły do szambelana, którego dwór był na drugiej jaru stronie. Pan Leon siadł do zaprzęgniętego jeszcze powozu, i popędził nazad do Lwowa, gdzie właśnie całe to zdarzerzenie z jego własnych słyszałem ust. I rozpowiadając sam nie wiedział czy ma się śmiać, czy płakać.

Na Podolu wiedzą już o jego nagłem i cudownem uzdrowieniu. Brońcia wstydzi się niepospolicie, ale niemniej przeto narzeka na kochanka. Ciekawa rzecz co nastąpi gdy się zobaczą; ja mniemam, że się pogodzą i pobiorą.... Jakoż to zdanie moje wynurzyłem raz przed samym Leonem.

— Gdyby nie długi język! odpowiedział śmiejąc się niby. Ale uśmiech jego był przymuszony.

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Miasto Królewiec leży nad rzeką portową *Prögel*, do której rzeki jest z Niemna kopanica, którą wiciny chodzą

do Królewca. Miasto jest bardzo wielkie i ludne, lecz nie ma żadnej fortyfikacyi; ma sytuacyą 4 mile od morza, nad którem przy ujściu Prögla do morza, jest forteca Piława. Rzeką Pröglem podchodzą duże kupieckie okręty pod sam zielony most. Kamienice na ulicy do zielonego mostu idącej są w całem mieście najpiękniejsze; i ta ulica jest obszerna, inne zaś są dość wązkie, rynków to miasto ma kilka.

My przyjechawszy stanęli w pewnej austeryi, ale nieboszczyk ksiądz koadjutor kazał nam się wraz przenieść do tej kamienicy, gdzie stał; która kamienica ma sytuacyą w rynku, leżącym między zamkiem a Pröglem: jest rogowa, dośc piękna, tuż przy fontannach, przy których się wchodzi do zamku, któremiśmy wchodzili na pokoje króla Stanisława. Mur zamku, alias samo zabudowanie zamkowe jest bardzo wysokie; z tej strony gdzieśmy stali pod samym dachem, znajduje się galeryjka, z której daleko widać, i tam król czasem wychodził dla rozbicia melancholii.

W przerzeczonej kamienicy, ksiądz kondjutor z teraźniejszym biskupem żmudzkim stał na drugiem piętrze, my zaś z panem starostą stanęli na trzeciem. Nazajutrz po przybyciu naszem zdarzył mi się głośny trefunek, bom się dał słyszeć samemu królowi, a to takim sposobem. Brat mój miał róg biorący w sobie dwa funty prochu, miał też szkło duże, które używał do czytania dla konserwacyi wzroku; a że to szkło palić mogło promnieniem slonecznym, był zaś dzień z rana pogodny: brat mój świeżo kupionego prochu chcąc spróbować, spalił go odrobinę na stole, a wtem lokaj przyszedł od Imć księdza koadjutora wokując go na dół. Jak skoro odszedł, nasypałem trochę prochu na stół, ale w prędkości niedaleko róg położyłem, i proch się był odrobinami rozsypał po stole; gdy tedy spaliłem proch w kupce nasypany, poszedł ogień znienacka po granach rozsypanego prochu z ukontentowaniem mojem; ale gdy przyszedł do rogu, zapalił w nim owe dwa funty prochu i w okamgnieniu wszystkie się okna otworzyły, i jam poleciał przez cały pokój; i gdyby mię pan Chockiewicz nie pochwycił, rozbiłbym się o ścianę. Huk spalonego prochu rozszedł się po całem mieście, król nietylko głos usłyszał, ale i nawet dym obaczył, bo był natenczas blizko owej galeryjki zamkowej; przysłał więc dowiadując się, coby się stało: nadszedł oficer z runtem, ale wszystkim prawdziwą rzecz powiedziałem. Ja sobie całą twarz opalilem, nie tak mi jednak dolegało opalenie jak bojaźń, żebym za to nie miał nacięcia.

Ztem wszystkiem uszło mi na sucho; przekawęczałem z tydzień z twarzą, lecz mi gospodynia tamecznej kamienicy, staruszka, przykładaniem jakowejś maści tak wyciągnęła proch z twarzy, że po dziś dzień znaku nie masz. Chcąc zatem bracia moi, abym tam chodził do szkól, najęli mi gospodę pod samemi Jezuitami; a że tam trudno o dyrektora katolika, napisali po niego do Rewla; nim zaś dyrektor nadjechał, ja sam tylko z chłopcem stałem, i dlatego przez długi czas małom się co nauczył, lubom chodził do szkół.

Nadjechał dyrektor nazwiskiem, Pawłowski, z rodziców Polak, ale w Warmii się urodził, i dlatego mówił dobrze po polsku i po niemiecku; że zaś miał wokacyą do stanu duchownego, wziął primam tonsuram i quater minores ordines od księdza Horaina, sufragana żmudzkiego, w Królewcu natenczas znajdującego się; i tento dyrektor zaczął mię dobrze dozierać, tak dalece, że przez 15 miesięcy grammatyki, syntakty dobrzem się nauczył; był bowiem i professor natenczas bardzo dobry, Imć ksiądz Pakejzer. Pod tę porę, gdy przyjechał do mnie dyrektor, przybył też do Królewca pan Prozor, wojskowicz kowieński, teraźniejniejszy generał major, oraz pod jednego do mnie oddany dyrektora, przez pana Syrenia, teraźniejszego kasztelana witebskiego.

Póki Król i senatorowie przy nim rezydowali, wielka była publica w Królewcu; coraz bowiem przybywało Polaków, zwłaszcza gdy dywizye polskie rozpłoszyły Moskwę. Tegoż czasu pana Sapiehę starostę gublińskiego w Szkudach pochwyciwszy Moskwa, zaprowadziła do Rygi, gdzie długo w ciężkim był trzymany areszcie, aż Zawisza marszałek nadworny litewski, poseł od Króla Augusta, będący w Petersburgu, gdy tam nadjechał pan Rokicki, wojski oszmiański, od żony starosty gublińskiego, i od państwa Sapiehów posłany, wyręczył go z tego aresztu. Najwięcej jednak pomógł (jako mówił wspomniony Rokicki) do uwolnienia starosty gublińskiego, Łopaciński archirej, wielką admissyą u carowej mający. Byłto Smolanin, bo w województwie smoleńskiem podziśdzień jeszcze znajduje się familia Łopacińskich.

Trzeba o tem wiedzieć, że za królem Augustem interesowala się Rossya, przez dom Austryacki i przez Birona nakłoniona do tego, i cesarz Karol IVty, stryj rodzony królowej Augustowej; a za Stanisławem: Anglia, Francya, Hiszpania, a potem i Turczyn. Augustowi od swoich promotorów zręczna była pomoc, bo Rossya około 100,000 różnemi partyami weszła do Polski; Stanisławowi Francuz pieniężny dawał sukurs i wojnę podniósł z cesarzem, a że cesarzowi Anglia i Hollandya pomagały, oporem szła ta wojna. Turczyn zaś już późno zaczął swoję operacyą, i jako miał awantaże nad cesarzem w Węgrzech, tak Rossyanie mieli nad nim około rzeki Donu nad Czarnem morzem.

Skończyło się więc wszystko traktatami, które do takiej sytuacyi całą rzecz przyprowadziły: król francuzki otrzymał dla króla Leszczyńskiego księztwo Lotaryńskie i Barskie, po którego śmierci wiecznie te księztwa mają należeć do Francyi; a królowi Augustowi upewniła się korona polska.

Rossyi dostał się od Turczyna kawał Georgii; a w Węgrzech dla Turczyna demoliowano fortecę Belgrad. Gdy te więc traktaty stanęły, które królowi Augustowi upewniały koronę, oznajmiono o tem królowi Stanisławowi sekretnie. On to taił przed panami polskimi w Królewcu będącemi; nie mogło się to jednak utaić, bo tejże poczty mieli oni wiadomość od Polaków we Francyi bawiących. A tak jednego razu zaprosił króla do siebie na kolacją Czapski, wojewoda pomorski; stał na francuzkiej ulicy niedaleko kościoła katolickiego, i gdy tam wino zapijali, Tarło wojewoda lubelski, który potem umarł w Sandomierskiem, wziął kielich i pił zdrowie królewskie w te słowa: „Wiwat Stanisław pierwszy, król polski, nie książe lotaryński i barski! Przysięgliśmy jemu, i gdy odstąpimy, niech Bóg nas ukarze!“ Na te słowa król wpadł w cholerę wielką, aż mu się ręce trzęsły, i te słowa mówił: „Odurzałeś wojewodo!“ który gdy dalej zaczął wyliczać hażardy panów polskich dla niego, król Stanisław kazawszy iść księdzu Sapieże „pójdź za mną proboszczu“, wyszedł i wsiadłszy z nim do karety, pojechał do zamku.

(C. d. n.)

Listy z Krakowa.

I.

Jesień i pustki w mieście. — Kormanek, Żygliński. — Balicki. — Rogoziński. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Sprawozdanie i Sekretarz jego. — Istnieje litografia w Krakowie. — Cercha. — pomnik Jana Kochanowskiego. — Myłka archeologiczna.

(Ciąg dalszy).

Czterej ci ludzie tak sobie pokrewni byli swem życiem, cierpieniem, tak uderzająca wspólność ich smutnego losu, że mimowoli myśląc o jednym nasuwa się drugi, szkicując życiorys pierwszego, następnych sam się prawie kreśli.

Żyglińskiego Franc. znane już koleje, ogłoszone w *Przeglądzie Poznańskim*, powtórzone w *Zbiorze poezyi* jego w r. 1852 w Krakowie wyszłych. Skończywszy szkoły i uniwersytet, dotknięty moralnie ciosem, który na całe jego życie nieszczęśliwie wpłynął, poświęca się poezyi i malarstwu. W tym ostatnim postąpiwszy, pragnie się udać do Rzymu, gdzie wzory mistrzów jego pędzel kształcić mają, a uroczysta historyczno-religijna osłona tej stolicy podnosić ducha, i wraz z pogodnem włoskiem niebem zdrowie ratować. Brak pieniędzy, choroba, ciągle wzrastający smutek, zatrzymują go w Wiedniu, gdzie pomimo tego wszystkiego ciągle pracuje jako malarz, jako poeta. Pędzel i pióro na przemiany, to dwaj jego przyjaciele. Wsparty wreszcie przez życzliwych, wraca do Krakowa, lecz ciągłe cierpiący, upada na duchu i ciele, słabnie, niknie widocznie, aż dnia 28. Stycznia 1849 umiera w szpitalu klinicznym.

W pozostałych po nim poezyach rysuje się jak w zwierciadle obraz życia jego. Opadnięcie ducha siły pod smutku brzemieniem, brak mocy do walki z przeciwnością nieraz, a więc narzekanie, wreszcie jako konieczne następstwo czasem zwątpienie i skłonność do fantasmagoryi. Język bardzo miły, formy przezwyciężone.

Szczegóły życia *Karola Balickiego* pożyczamy w streszczeniu z przedmowy, którą wraz z przygotowaniem do druku rękopismu całego, skreślił jeden z tutejszych literatów, wydając pozostałe po zmarłym tłumaczenie z *Jerzego Barrot* p. n. *Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnemi*. Lwów. nakł. W. Manieckiego. 1855. Od roku 1831 podobnie jak Kormanek kształcił się w malarstwie pod temi samemi mężami, pod F. Wrońskim, Gizińskim, Bizańskim, Stattlerem, Głowackim, Płonczyńskim, Gorczyńskim wreszcie. Pod ich okiem wzrastał w artystyczne siły młody Balicki. Lecz słabe zdrowie (mówi wydawca) ciągłej potrzebujące pielęgnacyi, wystawione na niedostatek, a chwilami nawet i nędzą wątlone, odarło biednego artystę nawet z surduta całego, wypychając go na ciemne zaułki i poddasza. Za dość miał godności, by brać jałmużnę; w modlitwie szukał pociechy; a nie wiele bogatsi od niego jak mogli ratowali chodzącą biedotę. Co ubożsi z kolegów jego i przyjaciół, zebrali dlań nawet małą sumkę z którą go na kształcenie dalsze w 1847 do Drezna wyprawili.“ Za granicą zwykłym trybem płynęło życie jego; usilna praca z jednej strony, a walka z biedą z drugiej, oto i pieśń artysty polaka, u obcych!

Jak tylko litość nieznanej ręki zaspokoiła drobne długi, powrócił znowu Balicki do kraju, by pracować, mieszkając na 3 piętrze, żyjąc prawie łaską Bożą, bo z sumiennych pozostałych po nim rachunków okazuje się, iż od r. 1840 do śmierci, a zatem przez lat 14 zapłacono mu za prace jego 4240 złp. 3 gr. Doliczywszy do tej sumy honorarium pobierane najpierw z posad (w r. 1843) jako nauczyciela w krak. parafialnej szkole ewangelickiej, później w szkole początkowej Kazimierskiej (po 100 złp. rocznie); wypadnie iż ś. p. Karol musiał żyć zarobkiem 1 złp. dziennie przy ciągłej chorobie.

Od r. 1840 czyli od chwili, gdzie już go cenić zaczęto, zrobił 12 *krajobrazów olejno*, częścią z natury, częścią z Müllera, Gorczyńskiego, Stoegera, Kummera i. w. innych.

Rozmaitych *widoków akwarellą* 13. Przeszło 150 *widoków z okolic* Krakowa, i przerysów zabytków starożytności, które po śmierci jego rozdano przyjaciołom, i życzliwym mu ludziom (według jego życzenia). Nieliczymy tego co przez lat 18 na żądanie rozmaitych osób robił.

W litografiach szkoły technicznej F. Lipnickiego, M. Cerchy, odbito mnóstwo prac jego, do rozmaitych książek i dzieł sztuce poświęconych. A przy końcu żywota u

wieńczył swe prace prześlicznemi robotami, które na wezwanie hrabiego Przezdzieckiego w wydawanych przez niego *wzorach sztuki* umieszczał.

Na kilka miesięcy przed skonem zabrał się do wykonania arcydzieła sztuki Wo. ołtarza p. Maryi kościoła, dłuta Wita Stwosza, a które mu wydawca *wzorów* polecił. Wykończyć to, wtajemniczyć się w wielką myśl mistrza, wiernie ją przelać pędzlem i ołówkiem, było wtedy jego jedynem marzeniem, a pojmując wielkość przedsięwzięcia, długo nieraz błagał Boga o pomoc, nim pracę rozpoczął. Gwałtowna choroba przeszkodziła mu uzupełnienie owego pragnienia, a przedwczesna śmierć dnia 15 czerwca z. r. ostatnią wyrwała nadzieję.

Walcząc lat 34 z nieszczęściem, pracując całe życie z rzadkiem zamiłowaniem, nie zostawił tyle przy sobie, aby go było za co pochować, spólną więc składką ostatnią mu zrobiono przysługę. Zostawił więcej po sobie, bo choć późno nauczono go się cenić dopiero, a szczery żal rodaków, wyryty głęboko w ich sercach, jest najgodniejszym zmarłego artysty grobowcem!

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* Powszechną uwagę zwraca wynaleziona przez Tomasza Blancharda z Ameryki, machina, na wystawie paryskiej się znajdująca, która zaleca się nie tak szczególnością użytego do niej działacza, gdyż tym jest siła pary, jako raczej kunsztownością mechanizmu, który z największą dokładnością, bez pomocy mistrzowskiej ręki, podług danego wzoru, z rozmaitego materyału wydaje odtwory wszelkiej rzeźby, chociażby nią były popiersia i całe posągi. I nie dość tego, że te naśladowania wychodzą niby identyczne z pierwowzorem swoim w każdym względzie; ale nadto, można jeszcze wykonywać je w powiększonych lub zmniejszonych wymiarach.

Maszyna ta rzeźbiarska jest to pewien rodzaj tokarni, wydającej przedmioty o niesymetrycznych, nieforemnych kształtach. Oto jest sposób jej działania. Wzór czyli model i bryła materyału stosownej wielkości, osadzają się na osiach doskonale równoległych, przechodzących przez ich środek ciężkości, a tem samem zgadzających się z linią środkową postaci. Oba te przedmioty ruchem wspólnym obracają się na osi, nie zmieniając swego miejsca w przestrzeni. Pewien rodzaj skazówki, osadzonej na końcu ramienia dźwigni czyli drążka, obiega całą powierzchnię wzoru, mając nadany sobie ruch podwójny, obrotowy i boczny czyli postępowy. Ona to na powierzchni przedmiotu kreśli szereg linij krzywych, równoległych, albo ściślej mówiąc linię śrubową, o skrętach nadzwyczajnie siebie bliskich, których obwody albo kształty zewnętrzne bezustannie się zmieniając, nieprzerwanie się zgadzają, czyli przystają do przecięć jakieby się tworzyły na powierzchni wzoru przez szereg płaszczyzn tuż przy sobie leżących, do osi obrotu prostopadłych. Tak więc ta linia śrubowa obwija całą powierzchnię wzoru z jednego końca w drugi, tak dalece, iż owa skazówka końcem swoim tworzy w przestrzeni powierzchnię zupełnie tęż samą, jaka przedmiot ogranicza. Współcześnie stalowe ostrze czyli dłóto, przytwierdzone do końca drugiego ramienia tejże dźwigni, urządzonej na podobieństwo pantografu, obracające się ruchem wirowym z nadzwyczajną szybkością 2 do 3 tysięcy razy na minutę, tak jest urządzone, iż musi podzielać wszystkie ruchy skazówki i przybierać kolejno wszelkie położenia w przestrzeni tej ostatniej odpowiadające. Odległości jego od swojej osi obrotu stale są też same, co i odległości skazówki od osi jej równoległej; tak dalece iż ostrze stalowe, szeregiem linij krzywych, tuż obok siebie równolegle położonych, albo ściślej mówiąc, szeregiem skrętów linii śrubowej, nieskończenie siebie bliskich, opisuje takąż w przestrzeni powierzchnię zupełnie, geometrycznie podobną do owej co wzór ogranicza. Lecz ponieważ ostrze dłóta opiera się na powierzchni bryły toczonej, nie może się więc zbliżyć do jej osi na żądaną odległość i odkryć punkt odpowiedni na mającej się utworzyć powierzchni, zupełnie tożsamej z powierzchnią danego przedmiotu, jeno tylko przenikając w massę bryły i odrzucając od niej cząstki zbywające. To przenikanie i odtrącanie cząstek niepotrzebnych, dzięki twardości i hartowi stali, dzięki sile dłóto naciskającej, a przedewszystkiem nadzwyczaj szybkiemu jego obrotowi, które je w świder wszechwładny zamienia, z wszelkiego oporu robi sobie igraszkę. Ze zdumieniem się spogląda, jak te wszystkie części na bryle zbywające, pryskają, w proch lecą i jakby czarem jakim znikają, zostawując po sobie wypukłości lub zagłębienia, które w końcu wydają przedmiot zupełnie podobny do swojego wzoru. Powiadają, iż przy pomocy machiny parowej dobrze idącej, w mowie będąca tokarnia w przeciągu 12 godzin może utworzyć popiersie naturalnej wielkości, jak tego miało być dowodem arcydzieło hr. Nieuverkerke, tej próbie poddawane. Gdy tokarnia ukończy swoją robotę, nic w niej do poprawienia lub sprostowania już nie pozostaje, oprócz nadania potrzebnego poloru; słowem, machina swój wyrób wydaje w tym stanie, w jakim on wychodzi z pod dłóta najbieglejszego rzeźbiarza. Dodać jeszcze musimy, iż widzowie ze szczególnym zdumieniem podziwiają mechanizm, który skazówce nakazuje z jak najściślejszą dokładnością pomykać się po zagłębieniach lub wypukłościach wzoru, nigdy ich nieprzeskakując, albo o nie zawadzając; przedewszystkiem ma to być widok nader zajmujący, gdy skazówka przebiega części twarzy, w której nos i usta są umieszczone; zdumieniem ma przejmować dokładność i delikatność, z jaką się posuwa po nozdrzach, otworach nosowych i wargach. W końcu, raz jeszcze powtarzamy, iż działanie obracającego się dłóta stalowego tak jest potężne, że nie ma żadnego materyału, nie wyjmując samejże stali, któryby się jemu mógł oprzeć: bronz, marmur, kość słoniowa, wszystko bez różnicy działaniu machiny ulega.

* Wieść, jakoby p. Walery Bogucki dla stosunków majątkowych porzucił zawód nauczycielstwa muzyki i na wieś wyjeżdżał jest mylna. I na dal kształcić będzie młodzież w muzyce, i nie usunie się od zawodu, w którym posiadając znakomite zdolności przynieść może znaczną korzyść kształcącym się.

* Napis na pomniku s. p. arcybiskupowi hr. Ankwiczowi postawionym, jest następujący:

D. O. M.
Andreae Aloysio
Comiti Skarbek Ankwicz de Poslawice
Principi Archiepiscopo Pragensi,
Legato nato etc. etc.
qui ante ab Anno 1814
Archiepiscopus Metropolita Leopoliensis
In rebus divinis explendis assiduus
Dioecesim Saluberrimis sancitis excoluerat;
Post-parta Benemeritorum Gloria
A. 1833. Pragam assumptus, Ferdinandum I.
Caesarem Benignum, Regem Bohemiae coronavit,
Atque fide pastoris Documenta relinquendo
die 36 Martii 1838 Aetatis 64. an. extinctus

in Ecca. Metrop. Pragensi quiescit.
Isthoc monumentum in Archiepiscopatu Leopol.
Tertius ab eo Succesor
Gratus moerensque posuit.

* Do szkoły urządzonej przez galicyjskie towarzystwo wykształcenia muzyki, przyjmowane będą od dnia 1. października b. r. uczniowie i uczennice do nauki spiewu i instrumentów.

* Plac wielki teatralny nazwany został za uchwałą przez aklamacją przyjętą Walnej Rady miasta Lwowa **placem Gołuchowskiego**, w dowód wdzięczności za protektorat i opiekę JEGO Excellencyi hr. Namiestnika nad Zakładem drohowyzkim i za uratowanie go od zguby i upadku. —

Przyjechali od dnia 24. do 26. Września do Lwowa.

PP. Strański Adolf z Wiednia. Kazimierz Wodzicki hr. z Izidorówki. Chełchowski Tomasz z Czerniowic. Janiszewski Julian z Wolcniowa. Zakrzewski Adolf z Wiktorowa. Torosiewicz Michał z Połtwi. Falkenstein Zygmunt z Rawy. Gątkiewicz Michał z Żółkwi.

PP. Fredro Edward hr. z Bełzca. Kolasiński Maciej z Sambora. Komorowski Piotr hr. z Bilinki. Obertyński Henryk z Wiednia. Komorowska Matylda hr. z Krakowa. Krzeczunowicz Ignacy z Jaryczowa. Baumann Ignacy z Rawy. Kozicki Maryan z Tarnopola. Komorowski Franciszek hr. z Łuczyc. Drohojewski Józef hrabia z Balic.

Wyjechali od dnia 24. do 26. Września ze Lwowa.

PP. Lewandowski Feliks do Tarnopola. Komarnicki Roman hr. do Złoczowa. Kołaczkowski Eugeniusz do Przemyśla. Zagórski Karol do Tarnopola. Brzowski Kazimierz do Przemyśla.

PP. Antoni Głogowski do Bojańca. Franciszek Kozłowski do Tarnopola. Teofil Pietruski do Derewacza.

Kurs telegrafowany z Wiednia 26. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	112 3/8	Pożyczka 5%	74 7/8 —
Hamburg za 100 tal. banco	81 1/2	Akcye banku	1051
Londyn za 1 funt szterl.,	10 55	Kolej północna	2042 1/2
Medyolan za 300 lirów	112 1/2	Obl. ind.	69
Paryż za 300 franków .	130 3/4	Nowa pożyczka z loterya	97 3/4
Agio duk. ces.	17	Pozyczka narodowa . .	79

Wczorajszy Kurs Lwowski		Gotówką			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	18	złr. 5	kr	20
Dukat cesarski	«	5	»	22	» 5	»	26
Półimperyał zł. rosyjski . . , ...	«	9	«	7	» 9	»	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	45	« 1	»	47
Talar pruski	»	1	«	40	» 1	«	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	16	» 1	»	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	«	40	92	»	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	»	30	» 70	«	—
5 proc. pożyczka narodowa		79	»	10	» 80	»	—

Do dzisiejszego numeru dołączone są ryciny mód.

Z powodu święta numer sobotni rozdawany będzie w piątek o godzinie 6. wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**